292274

№ 35. 28. Sierpnia 1893.

826 III czasop.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Kilka słów o twórczości i działalności Kollara.

Znaczenie Jana Kollara dla Słowiańszczyzny było podwójne: jako poety a przedewszystkiem twórcy poematu »Slavy Dcera« i jako propagatora wzajemności słowiańskiej. Działalność jego poetyczna przypadła na czas duchowego odrodzenia się dwóch bardzo pokrewnych sobie narodów: słowackiego i czeskiego. Słowacy po wiekowym spokoju literackim, nagle poczuli potrzebę rodzimego, duchem narodowym przejętego piśmiennictwa, któreby dzielnie poparło ich ruch wolnościowy. Kollar wystąpił wtedy ze swymi utworami, nacechowanymi prawdziwem natchnieniem i niezwykłym talentem. Poezje Kollara nie tylko działały same przez się, ale jak zwykle w takich razach bywa, oddziaływały równie przez utwory całej szkoły poetów słowackich, przywołanych do życia przez ducha Kollara i wstępujących w jego ślady. Cała młoda szkoła słowacka była duchowem potomstwem wielkiego twórcy »Slavy Dcery«. Wpływ Kollara na rozwój literatury czeskiej był może jeszcze większy. Dla należytego zrozumienia tego ciekawego procesu zaznaczyć winniśmy, że kiedy Słowacy popierani pierwotnie przez Niemców przeciw Madjarom mieli chwilowo warunki swobodnego rozwoju, Czesi przeciwnie gnębieni byli i uciskani, a o wytworzeniu swego własnego piśmiennictwa i myśleć nie mogli. Wonczas to zdarzył się dziwny fakt prawdziwej i praktycznej wzajemności słowiańskiej, bo Słowacy wydali z pośród siebie trzech wielkich ludzi: Szafarzika, Palackiego i Kollara, którzy pisali głównie po czesku i należą w całem tego słowa znaczeniu do dwóch literatur. Wpływ tych trzech ludzi na odrodzenie się czeskiego narodu i literatury jest wielki i niezaprzeczony. Prawdziwą i ważną epokę w życiu Kollara stanowi jego pobyt w Jenie, gdzie wiele wysoce zbawiennych wpływów podziałało na jego wrażliwy i potężny umysł. Odwzajemniana, ale nieszczęśliwa mimo to miłość dla p. Schmidt, noszącej w jego poezjach imię Miny, szarpnęła za strunę poetycką, która tak silnym i dźwięcznym odpowiedziała akordem. »Slavy Dcera« składa się z pieśni, a pieśń z sonetów, z których wiele treści liryczno-miłosnej usprawiedliwiało nadane Kollarowi miano słowiańskiego Petrarki. Miłość była tym pierwszym bodźcem do przemówienia językiem pięknej, wzniosłej poezji i stanowiła jeden z momentów twórczości Kollara.

Wojny napoleońskie, wywołujące reakcję w licznych państwach niemieckich, które podjęły myśl połączenia się w jeden wielki, potężny politycznie i cywilizacyjnie naród, stwarzające w ten sposób ideę pangermanizmu, natchnęły Kollara ideą panslawizmu, wzajemności Słowian, którzy słabi w rozproszeniu mogliby silni i potężni być w połączeniu i jedności. Uroczystość pangermańska na Wartburgu i Fichtego mowy do narodu niemieckiego wstrząsnęły umysłem Kollara, u którego nagle powstała wiara w potęgę i wielkość tak licznie rozrodzonej Słowiańszczyzny. Obok tego nie pozostały bez wpływu świeże hasła rewolucji francuskiej, dochodzące do Kollara przez pryzmat umysłowości i poezji rewolucyjnego Byrona, który budził wszędzie ducha wolności i dążność do swobodnego rozwoju nie tylko pojedynczego indywiduum ale i jednostki w znaczeniu narodowościowem. Ponieważ zaś współczesny Kollarowi stan Słowiańszczyzny smutny był i nie wiele pocieszających przedstawiał widoków, przeto też Kollar zwrócił swój wzrok wstecz ku przeszłości szczepu słowiańskiego, przeszłości świetnej i chwały pełnej. Było to zresztą w duchu modnych podówczas teorji genewskiego filozofa Jana Jakoba Rousseau, który sławił pierwotny stan natury człowieka i chciał, aby do niego wrócono. Zwrot ten ku przeszłości Słowiańszczyzny, ułatwiał Kollarowi pobyt na ziemi niegdyś czysto słowiańskiej dziś zniemczonej raz na zawsze. Poszukiwania historyczno-archeologiczne, których wynikiem było kilka prac naukowych, dały Kollarowi możność bliższego wniknięcia w tę przeszłość Słowian. Jeżeli dodamy do tego zrozumiałą u poety i księdza wiarę w przyszłość Słowian, w ich osobliwszą misję dziejową, która nakładała na nich obowiązek poprawienia i odrodzenia jeżeli nie ludzkości całej, to przynajmniej Europy, zrozumiemy podkład twórczości i działalności Kollara, miłującego swój naród z całej duszy i pragnącego jego szczęścia i pomyślności.

Już kilka razy zaznaczaliśmy, że głównym utworem poetyckim Jana Kollara była »Slavy

1979 CW 1058/3

Dcera«, w której zawarł wszystkie swoje cierpienia i radości, wszystkie marzenia o przeszłości i przyszłości, jakiej życzył całej rodzinie słowiańskiej. Wydanie na świat tego utworu na wiele napotykało przeszkód i wiele wymagało czasu. Pierwsze wydanie zostało przez cenzurę bardzo obcięte i przetrzebione. Rzeczy najpiękniejsze i z największą siłą napisane, a ze względu na treść najciekawsze, nie mogły być pomieszczone w pierwszem wydaniu, które mimo to wielkie i powszechne wywołało wrażenie. Potem wiele z tych przez cenzurę nie przepuszczonych sonetów pojawiło się pojedyńczo w najrozmaitszych pismach i perjodycznych wydawnictwach, poczem wszystkie zostały włączone do drugiego, znacznie zwiększonego wydania. Następnie poeta na Dantego zapatrzywszy się dodał do trzeciego wydania i niebo i piekło, do których pakował ludzi nie zawsze na podstawie objektywnej słuszności, przez co nawet wielu sobie współczesnych naraził. Wielka tedy epopeja rosła powoli i stopniowo, aż w końcu doszła do swej ostatecznej wielkości. Nie tyle jednakże chodzi tutaj o rozmiary i sposób powstania poematu, jak raczej o jego wątek ideowy, który mu główną i zasadniczą nadaje wartość. Obok nienawiści do Niemców i Madjarów, jakoteż obok innych wyżej zaznaczonych momentów, główną osnowę poematu stanowi Kollarowska idea wzajemności słowiańskiej, której prozaicznym wyrazem była praca p. t. »Ueber die Wechselseitigkeit der Slaven.« — »Slavy Dcera« cały swój szybki rozgłos i wielki odrazu wpływ zawdzięcza temu, że poeta z niezwykłą siłą i talentem dał wyraz budzącemu się uczuciu, które prawie wszystkich obejmowało Słowian. Słabą stroną Kollarowskiej idei była jej poetyczność i mglistość, nie licząca się z rzeczywistością i bujająca chętnie w krainie fantazji, której realizacja na ziemi jest niemożliwa. Kollar nie tyle pragnął wzajemności politycznej, ile raczej literackiej, duchowej. Domagał się on, aby każdy prawdziwie wykształcony Słowianin znał obok swego co najmniej cztery główne języki słowiańskie: czeski, rosyjski, polski, illiryjski, dające możność zrozumienia wszystkich pozostałych. Żądał on poznawania w oryginale a ostatecznie w przekładach najwybitniejszych utworów literatur słowiańskich, wydawania pism w różnych językach słowiańskich, wspólnych zjazdów uczonych i literatur, wzajemnego popierania się w nauce i literaturze, posyłania sobie lub też pożyczania książek, słowem poznawania się jak najbliższego, wzajemnego oddziaływania na siebie, zlewania się w jeden naród słowiański, jeden kulturnie naprzód a potem i politycznie może. Kollarowi zdawało się, że byle każdy naród zechciał się pozbawić właściwych sobie cech językowych i wyrazów, wytworzyłby się w krótkim czasie język niemal wspólny, coś w rodzaju słowiańskiego volapüku, który umożliwiłby porozumienie się, a potem i zbliżenie polityczne. Jestto tylko szkielet obszernej teorji Kollara, są to tylko główne zasady i zarysy, z których jednakże dokładne można mieć pojęcie o tem, jak mało znał Kollar życie rzeczywiste, jak mało liczył się z realnymi warunkami bytu, które tak niemiłosiernie obeszły się z jego ideami. Cały późniejszy rozwój Słowiańszczyzny, opierający się na rozwoju pojedynczych indywidualizmów narodowościowych i prowadzący do silnych, gwałtownych antagonizmów, był przyczyną zupełnego bankructwa aspiracji Kollara, którego zasadnicza idea dobra była i sprawiedliwa, ale jej przeprowadzenie tak bardzo niefortunne i nieszczęśliwe, że wyśnioną przez poetę wzajemność słowiańską, można osiągnąć na drodze biegunowo przeciwnej, djametralnie różnej. Życie rozwiało wszystkie piękne złudzenia gorącego poety, ale zasadniczą myśl jego rozwinęło i spotęgowało. My dzisiaj patrząc z pewnego oddalenia, możemy łatwo wytykać błędy i wady tej pierwszej próby na polu stworzenia zasad wzajemności słowiańskiej, bo mamy to doświadczenie historji, na którem Kollar oprzeć się nie mógł, przewyższając współczesnych siłą swego ducha.

Gdyby Kollar dziś mógł powstać z grobu, spostrzegłby, że aczkolwiek współczesna Słowiańszczyzna daleka jest od ideału postawionego w poemacie »Slavy Dcera«, to jednak postąpiła bardzo naprzód w kierunku poznania się, zbliżenia i tworzenia pewnych nawet serdecznych nieraz związków, spostrzegłby, że wzajemna znajomość języków, literatur i stosunków szerzy się wpośród narodów słowiańskich. Zapewne daleko jeszcze do tego, aby narody słowiańskie wytworzyły pomiędzy sobą znośny *modus vivendi*, ale usiłowania i w tym kierunku mnożą sie i nieraz pozytywne osiągają rezultaty. *W. Szukiewicz.*

Miłość.

Napisała **Vilma Sokolova.**

(Ciąg dalszy).

Idąc tak, ujrzała pewnego majowego wieczora dziewczę, siedzące pod kwitnącą jabłonią. Świeży wiaterek osypywał dziewczynę różowem kwieciem, z pobliskiej zaś gęstwiny od strony potoku dolatywały do niej słodkie dźwięki tkliwej piosenki słowiczej. Wschodzący księżyc posrebrzał bladem światłem całą okolicę, a biały strój owocowych drzew połyskiwał śnieżną białością ślubnego welonu panny młodej.

Dziewczyna pogrążona była widocznie w słodkie jakieś dumanie, gdyż na licach jej igrał — wraz z promieniem księżycowym — promień radośnego uśmiechu.

— O czem marzysz? — tchnieniem wonnem, jak kwiecie jabłoni zagadnęła ją Miłość.

— O miłości — jeszcze ciszej odszepnęło dziewczę.

— A coś o niej marzyła, że uśmiechasz się tak roskosznie?

— Ach, widziałam siebie samą idącą przez życie z człowiekiem, którego kocham. Jak urocza była ta droga życia! On pochylał się i odrzucał z niej każdy kamień, o którybym mogła zranić stopy. Dokąd spojrzałam, zewsząd śmiały się ku mnie kwiaty, które miłość jego dla mnie zasadzała. Rozchylał gałązki drzew, abym mogła wpatrywać się do woli w gwiazdy na błękicie niebios, ale sam wpatrywał się jedynie w gwiazdy moich oczu. Milkł, abym mogła słyszeć wszystkie słodkie dźwięki, napełniające powietrze, ale sam słuchał tylko mego głosu, odgadując i spełniając każde życzenie wpierw, nim je słowa wyraziły. Jak bardzo byłam szczęśliwa i jakież to było cudne marzenie o miłości!

— Mylisz się, to nie było marzenie o miłości — rzekła stanowczo Miłość.

— Jakto? — chciała zaprotestować dziewczyna, ale Miłość skinęła, nakazując milczenie i tak mówiła dalej:

— Pamiętałaś tylko o sobie samej, a miłość każe o sobie zapomnieć. Wielkość i potęgę swą mierzy ona szczęściem tego, kogo kocha. W szczęściu ukochanej istoty znajduje własne swe szczęście. Dopokąd serce twoje nie nauczy się tak czuć, nie poznasz, czem jest miłość. Brałabyś jej imię nadaremne, gdybyś niem nazywała egoistyczne uczucie, które się wciska zbrodniczo do twej duszy. Nie dopuść, aby się w niej rozgościło. Dokąd ono wchodzi, stamtąd — osłaniając twarz żałobnym welonem — odchodzi na zawsze miłość.

Jak krople deszczu, spadając na zamknięty pączek, rozchylają go w czarowną różę, tak każde słowo Miłości padało na serce młodej dziewczyny. Zdawało się jej, że ze snu się budzi. Marzenie, wpierw tak wyraźne i określone, straciło nagle formę, barwy, urok. Rozpływało się, jak się rozpływa mgła poranna pod ognistym promieniem słońca. I jak z pod mgły wychyla się ku słońcu murawa usiana wilgotnymi pączkami i kwiatami, tak otwierająca się młoda dusza dziewczyny spoglądała łzą zroszonymi oczyma w tajemnicze, czarowne źrenice Miłości. A Miłość pochyliła głowę na jej serce i nowy obraz przyszłości roztoczył się przed stęsknioną duszą dziewczęcia.

Widziała znowu w marzeniu wybranego przez siebie człowieka. Widziała, że w duszy jego płonie wielka, święta idea, której pragnął poświęcić życie. Widziała go pogrążonego w ciężką pracę umysłową, która była dlań środkiem, drogą do osiągnięcia wielkiego, wzniosłego celu. O, jak droga ta była daleka od celu! W niedościgłej gdzieś dali zlewała się z nim, jak na dalekim horyzoncie ziemia zlewa się z niebem. A jak ciężką była i trudną, ciernistą i skalistą, a miejscami zgoła prawie niedostępną. Biegła wśród powszedniości, starć, złudzeń, ofiar. W dalekich odstępach wyrastały na niej nikłe zielone łodygi, na których wypoczywało oko, ale nigdzie nie było drzewa, którego rozpostarłe konary mogłyby dać schronienie przed burzą lub cień przed skwarem życia.

Jemu płonęła w tej niedościgłej dali gwiazda wielkiej idei. Dla niej gwiazda owa nie była jeszcze wyraźną, ale czuła sercem, że tam świeci, wszak widziała jej odblask w jego duszy. W ukochanym człowieku uczyła się kochać wielkie, wzniosłe cele, które on kochał i dla których żył.

Nie wahała się iść z nim razem drogą cierpienia i samozaparcia. Pragnęła pozostać u jego boku wiernie, aż do śmierci. Chciała być na jego drodze ochładzającym powiewiem, któryby osuszał pot jego czoła, drzewem, któreby mu dostarczało łagodnego cieniu w chwilach spoczynku, źródłem, któreby go rzeźwiło, głosem, któryby w chwilach wahania i przygnębienia, jakie opanowują niekiedy i najsilniejsze dusze, dodawał mocy, wołając „Bądź mężnym, wytrwaj!“

Zapomniała, idąc tą drogą życia, o własnem swojem ja, a żyła jedynie dla męża, a tem samem i dla idei, dla której on żył. A to zapomnienie o sobie wlewało w jej duszę — pomimo cierpień, jakich los im obojgu nie szczędził — niewysłowioną roskosz. Czuła, że oddając mu serce, bierze w siebie wciąż więcej i więcej promieni jego ducha i że najsłodszą chwilą życia nie była dla niej ta, w której usłyszała wyrazy: „kocham cię“, lecz że chwilą taką najsłodszą stanie się dla niej ta, która doprowadzi jej ukochanego do wzniosłego jego celu.

A Miłość, oddawszy dziewczynę na całe życie takim uczuciom, odeszła, aby szukać innych serc.

Znalazła się wkrótce w tłumie ludzi, wchodzących i wychodzących z olbrzymiego gmachu, podobnego do labiryntu. Krzyżowało się tu mnóstwo korytarzy, ale wszystkie one wiodły do jednej przestronnej sali. Nad wejściem płonął złotemi literami napis: „Powinność“, a przeciwległą ścianę okrywała ciężka, w obfitych fałdach od sufitu do podłogi spływająca zasłona, na której wytkany był jeden tylko wyraz: „Wejdźcie!“ W przedniej części sali przed zasłoną stał olbrzymi ołtarz z wysoko gorejącym płomieniem ofiarnym.

Miłość wstąpiła powolnym krokiem do szczególniejszej tej budowy. Widziała, jak ludzie przystawali, niepewni i wahający się na jej progu. Niektórzy, co już — już mieli do niej wejść, cofali się nagle, ci zaś, co wchodzili, twarz mieli zachmurzoną, posępną. Pochylali karki, niby pod ciężkiem jarzmem, wzdychali i narzekali głośno, a nawet przekleństwa obijały się o ściany krętych korytarzy. Widziała, że nikt prawie z wchodzących nie kierował się wprost ku sali, nad którą widniał napis: „Powinność“, i że niemal wszyscy błąkali się po krętych korytarzach, jak gdyby chcieli umknąć bocznemi drzwiami przed tem wezwaniem.

Ale umknąć nie było sposobu. Ulegali więc konieczności, przystępując po kolei ku ofiarnemu ołtarzowi i ciskając ponurym ruchem w żarłoczne jego płomienie daninę ze swego życia. Za otrzymane bowiem w darze życie trzeba przez cały ciąg

istnienia mniejszemi, lub większemi ratami spłacać dług powinności. Życie i powinność to nierozłączni towarzysze. Kto pierwsze przyjmuje, ten drugiej wydaje rewers. Dla bardzo wielu niełatwem jednak bywa spłacanie rewersu. Miłość widziała, z jakim trudem to czynią i zeznawała, że danina jednych względnie do daru życia zbyt wielką jest i uciążliwą wskutek tego, że inni, którzy otrzymali nadto przy chrzcie mnóstwo innych drugorzędnych darów, opłacali powinności daninę jak najmniejszą. Ścisnęło się jej serce na taki widok. Zapragnęła zaradzić złemu, o ile to było w jej możności. Miękkim ruchem brała za rękę każdego przychodnia i podnosząc zasłonę, wzywała go do wejścia. Szczęśliwy, kto był posłuszny wezwaniu, kto nie cofnął ręki z pieszczotliwej dłoni Miłości! I ona bowiem wchodziła z nim razem, a pod ciepłem jej dotknięciem poznawał tę, którą dotąd uważał za posępną, surową, nieubłaganą, poznawał — Powinność. Przybytek jej tutaj się znajdował, a chociaż wszystkich ku sobie wzywała, nie wielu wchodziło, niewielu pragnęło ją poznać. Spłacali u ofiarnego ołtarza częściowo swój dług lub procenta od kapitału i odchodzili pośpiesznie. A jak chętnie, z jaką chciwością urywali, gdzie tylko mogli, każde ziarnko, któreby powinno pójść na ten ołtarz!

I teraz dopiero, gdy Miłość przywiodła ich ku Powinności, zaszła zmiana w sercach tych wszystkich, którzy ją zwodzili, nienawidzili, którzy jej unikali.

— Jak mogliśmy pozostawać tak długo w zaślepieniu i nie uznawać ciebie, nasza opiekunko, nasza żywicielko? O teraz pojmujemy, że dając, czego od nas żądasz, nie tobie, lecz sobie dajemy i pożyczamy. Dajemy i pożyczamy narodowi naszemu i ludzkości, od których otrzymaliśmy i przez ciąg całego życia bierzemy tak wiele, że pojedyńczy człowiek nie jest w stanie spłacić tego długu.

Miłość weszła do ich serc, nauczyła ich znać a tem samem i kochać Powinność. Ofiary jej składane wydawały się im teraz lekkie, gdy Miłość dopomagała je spełniać.

A gdy opuszczali przybytek Powinności, oczy ich płonęły złotemi blaski. Świeciło w nich zadowolenie, jakie Powinność wlewa w serca tych, którzy ją szczerze kochają.

Nie znająca znużenia Miłość szła dalej, wiodąc za sobą liczne serca tam, gdzie wytryska jasny, przeczysty zdrój, który tem bywa dla dusz ludzkich, czem dla kwiatów rosa, dla nocy gwiazdy, dla dąbrowy śpiew ptasząt. Wiodła ich do zdroju piękna natury.

Szczęśni ci, którym Miłość podała czarę, napełnioną u czarodziejskiego źródła! Tam, kędy tysiące przechodziły patrząc, a nie widząc, słuchając, a nie słysząc, przechodziły obojętnie, a serca ich nie uderzały w piersiach wzruszeniem, ani tęsknotą, ani uwielbieniem, — tam przed wzrokiem ludzi, którym Miłość podała czarę, odsłaniał się nieprzeczuwany dotąd świat Piękna, które nigdzie nie posiada tak olśniewającej wymowy, jak w naturze. Przemawia ono do duszy ludzkiej raz słodyczą, wdziękiem, prostotą, to znowu wielkością, majestatem; tu świetną grą barw, cieni i świateł, tam potężną harfą, której struny drgają wszelkiemi tony — od łagodnego powiewu wiatru i śpiewu ptaszął do wspaniałego chorału szalejącej burzy. Piękno przejawia się tu w całej swej okazałości i wzruszającej potędze.

I tam, gdzie Miłość dostrzegała najgłębsze zrozumienie, największy zapał, najsilniejszą miłość, gdzie budziło się pragnienie całkowitego oddania się na służbę Pięknu, tam dłuższym pocałunkiem dotykała serca, gorętszem tchnieniem owiewała serca, pieszczotliwszym ruchem dotykała dłoni wybranego.

I zjawiali się artyści, poeci, rzeźbiarze, malarze, muzycy, którzy służąc Pięknu, wydobywali cenne skarby z głębin własnego ducha, własnego serca, aby utrwalić panowanie jego w sercach innych ludzi. (D. c. n.)

Widmo małżeństwa.

— Moje pierwsze małżeństwo — rzekł Jakób Ferveuse — trwało kilka godzin tylko, a co większa, nie zrywałem nawet z tą, która miała być moją prawdziwą żoną. Był to tedy związek małżeński urzędowy, a jednocześnie, jak się przekonacie, najlepszy uczynek, jaki spełniłem w mojem życiu...

W czasie owym dyktowałem moje notatki filozoficzne staremu kopiście, który zamieszkiwał przy ulicy de l'Estrapade; był to najuczciwszy człowiek w świecie, doprowadzony do tego sposobu życia przez cały szereg nieszczęść, jakie miał słabość opowiadać wszystkim... I ja słuchałem jak inni, ponieważ od tego co opowiadał, wiało szczerością... Gdy stary gawędził, córka jego, szczupła blondynka, przepisywała papiery. Dwa czy trzy razy zastałem ją samą w domu i nie mogłem nie spostrzedz, że moja obecność wywiera wrażenie nadzwyczajne... Ponieważ była dosyć ładną z tem swojem spojrzeniem, w którem malowała się tkliwość głęboka, wychodziłem wtedy jak najprędzej; byłoby niegodziwem uczynić ją swoją kochanką. Często także rozmawiałem z nią z czułą poufałością, która dla niej nie była nieprzyjemną. Poufałość ta padła głęboko w jej duszę, tak głęboko, że byłbym się prawdziwie przestraszył, gdybym to mógł przewidzieć.

Gdy to się działo, wybrałem się w niedługą podróż, zakochałem się, zaręczyłem, a następnie powróciłem do Paryża, ażeby uzupełnić jeszcze niektóre poszukiwania. W dniu mojego powrotu zapukano do drzwi i zobaczyłem wchodzącego mojego przepisywacza. Schudł, a oczy jego łez były pełne.

— Panie — zaczął — chciej mi wybaczyć, iż przybywam tutaj, lecz pan był dla nas tak dobry, a córka moja... umiera.

— Doprawdy! — zawołałem więcej z grzeczności, niż wzruszony.

— Leży w szpitalu, panie, a ja przyszedłem prosić... powiedzieć...

Zatrzymał się, szepcząc niezrozumiałe wyrazy, bez związku, z oczyma, w których widniała prośba bezgraniczna, a po chwili dopiero krzyknął prawie.

— Moja córka kocha pana! Z uwagi, iż śmierć jej jest już blizką, myślałem...

I nie dając mi czasu do odrzucenia tej dziwnej dosyć deklaracji, zaczął opowiadać tak niezwyczajną a wzruszającą historję miłości, że zanim skończył, ja z kolei miałem oczy łez pełne.

— Czy chciałbyś ją pan odwiedzić? Byłaby tak szczęśliwą... Biedaczce pozostaje do życia zaledwie parę tygodni...

W niecałą godzinę byłem przy młodej dziewczynie. Jakżeż widok jej był wzruszającym... Pocałunek śmierci zostawił na jej twarzyczcze swoje piętno, które jednakże nie odebrało jej wdzięku. Oczy jej głębokie zabłysły na mój widok. Radość jej przyśpieszyła bicie mojego serca... Zaraz odgadła, że jej ojciec mówił ze mną i wtajemniczył w jej uczucie, opowiedziała swój czuły, a słodki romans, zbudzenie się serdecznych porywów, obawę, że nie będzie kochaną, pragnienie śmierci...

I nagle z główką na białym jaśku, kierując na mnie piękne swoje oczy, drżącym głosem zapytała:

— A pan, czyż nigdy... nigdy...

Co powiedzieć, co zrobić... Powiedziawszy prawdę, byłbym dla niej katem; skłamawszy, pocieszycielem. Zwyciężyła litość.

— Ja! Ależ ja panią kocham oddawna!

— Czyż to prawda?

— Jakżeż się możesz pytać o to?...

Zobaczyłem na jej twarzy radość, jakiej nie zobaczę już nigdy. Radość zrozpaczonych. I w tej chwili, jeżeli jej nie kochałem namiętnie, było w mojej duszy coś, jakaś cząstka tej dobroci, która prowadzi do poznania tajemnic śmierci...

* * *

Na nieszczęście, niewiadomo, jakie przeczucie popchnęło ją dni następnych do tego, że zaczęła wątpić. Mówiła mi:

— Ale ty nigdy mnie nie zaślubisz?

Przysiągłem jej to...

Uśmiechnęła się, a w tym uśmiechu znać było uwielbienie dla mnie... Modliła się. Pewnego dnia cierpienie jej było tak wielkie, a moje wzruszenie tak prawdziwe, że chciałem jej dać szczęście... »To mnie będzie kosztować tak mało« — pomyślałem — czyż nie jest już skazaną oddawna?...

— Ogłoszę zapowiedzi — powiedzałem do niej.

Nie będę wam opowiadał, ile mnie kosztowało pozyskanie zezwolenia opiekuna. Co się tycze narzeczonej, nie starałem się o nie, wiedziałem i tak, że mi przebaczy później. Zapowiedzi były ogłoszone, a ja zająłem się przygotowaniami do ślubu.

Ona tymczasem przepędzała dni jakby w ekstazie. Choroba jej jakby się wstrzymała. Olśniewała mnie, otaczała czułością pozagrobową, tkliwością matek dla dzieci, o których wiadomo, że żyć nie będą. Kazałem ją przenieść do oddzielnego pokoju i powierzyłem staraniom najpierwszych lekarzy; siostra miłosierdzia czuwała nad nią w dzień i w nocy... Spędzałem z nią większą część mego czasu. Nie mogłem się oddalić od tego spojrzenia, w którem malowało się uwielbienie, od tego ubóstwiania, którem odpowiadała na każdy mój gest, na każdy mój wyraz...

Dzień oznaczony nadszedł. Po małżeństwie cywilnem ustawiono ołtarz w jej pokoju, a ją ubrano w suknię narzeczonych.

Przystrojona we wdzięk swój i swoje szczęście, jaśniała jak dzień majowy na schyłku, gdy mgła się wznosi po nad pagórki i stawy, gdy woń kwiatów łączy się w dziwną harmonię z gasnącemi odblaskami światełek... Zdawało się, iż przeżyła lat dwadzieścia w przeciągu jednej chwili. Skoro tylko zamknę oczy, widzę ją jeszcze taką dotąd...

Uśmiech świętej błąkał się na jej ustach. Ze złożonemi drobnemi rączkami słuchała poważnego głosu kapłana. Dłonie nasze łączą się, a ona drży całem ciałem, powtarzając sakramentalne: »Tak,« w które kładzie całą swoją religię, wszystkie wierzenia swojej istoty. Poźniej siły jej się wyczerpują, ale cóż to za przyjemne osłabienie. Czule szepcze, marzy, przyciska mię do ust swoich... Mrok śmierci zapada nagle, lecz ona nie czuje, że zgon już nadchodzi...

Ona kocha dalej, nie przestaje być szczęśliwą: marzy i szuka zapomnienia w półśnie czarownym.

Nad wieczorem jeszcze szepcze:

— Więc mnie kochasz? Kochasz taką biedną jak ja dziewczynę?... Wiesz, będziemy żyli długo razem, ja to czuję, że nie mogę teraz umrzeć, że nie powinnam umierać...

Głos jej zdaje się, jakby przypływał z oddali, jakby odgłos dzwonów z nad morza, jak szum lasu w pustyni. Główka jej zastyga na miejscu bez cierpień, ciało sztywnieje ona zaś powtarza jeszcze.

— Ja nie mogą umierać!

Czuję w tej chwili, że jestem „wszystkiem tem, co ona kocha“, matką jej, ojcem, kochankiem. Jeszcze może wyrzec;

— Kocham cię... Będziemy mieszkali na wsi... fijołki...

I odchodzi w świat lepszy, szczęśliwa...

Wieczór już nadszedł, mrok zapadł... Spo-

glądam na zmarłą, ubraną w kostium panny młodej, boleść ma jest głęboką, a jednakże słodka; czuję, że wiele mi będzie przebaczone, za to, żem nie zniweczył złudzeń biednej zakochanej i że zamknąłem jej powieki wśród upojenia szczęścia.

KWIAT-ŁZA.

Młodości, czyś ty snem była,
Co dziwną lubość roztacza,
Żeś się tak prędko prześniła
Jak chwile szczęścia tułacze?..
I jeszcze czuję to serca drżenie
I miękki uścisk twej dłoni,
I widzę ciebie piękne marzenie,
Jak perłę wśród morza toni.
Lecz gdzieżeś piękna? Wszak blaskami tęczy
Tyś mi złociła wiek szczęścia młodzieńczy,
Żem zapatrzony w Twą piękność tajemną
Myślał, że wiecznie będziesz przy mnie, ze mną,
Że wiosny życia nic nigdy nie zmieni...
Że śnić tak będę zawsze, wieczność całą...
Wtem mi zaszumiał cichy szum jesieni,
Tyś uleciała, wspomnienie zostało...
I kiedy cały drżący i niepewny
Szukam mej pięknej, anielskiej królewny,
Spotkałem kwiecie; dziwny to kwiatek:
Listki miał srebrne i całe drżące
I lilji białość w kielichu...
I coś mi w ucho szeptał po cichu
O niemowlęcem szczęścia zaraniu
I o tem świętem matki kochaniu,
I dużo, dużo z dziecięcych latek
Srebrnymi listki szumiał mi kwiatek.
Serce mi biło, usta gorące
Chciały całować to lube kwiecie
Lecz on się zręcznie z ręki wywinął
I jak w aniołka zmienia się dziecię,
W łzę się rozpłynął...

Aleksander Stroka.

U »LEŚNYCH LUDZI«

napisał

J. H. ROSNY.

(Ciąg dalszy.)

Magne spuścił głowę i marzył, a to, co mu się błąkało po mózgu, poruszało go do głębi. W tej szczelnie zamkniętej puszczy, widział odtworzenie dawno, bardzo dawno minionej przeszłości, powtórzenie odwiecznego epizodu z dziejów stworzenia. W tej dziewiczej puszczy, inteligencja tego, który kiedyś, być może, był niebezpiecznym rywalem człowieka w walce o byt, achowała swoją cechę wyższości: zaczątki organizacji społecznej, zbiorową obronę, obmyślaną, obok potężnej siły fizycznej.

Magne postanowił wedrzeć się w głąb Kyamo, przyjrzeć z bliska życiu tych istot. W miarę, jak myślał, postanowienie jego nabierało siły i pewności.

Tymczasem zapalono wielkie ognisko na środku wioski; jego silne światło ćmiło słaby blask gwiazd i księżyca. Murzyni, wydając wesołe okrzyki, radowali się jak dzieci.

Zdziwione zwierzęta płaszczyzny z początku przycichły, lecz wkrótce oswoiły się, i znowu z ciemnych, dalekich przestrzeni zaczęły dolatywać krzyki zwycięzkie, to pełne rozpaczy, jakby przedśmiertne, to znowu miękkie, miłośne. Pachnący dym z aromatycznych roślin, przygłuszył wonie kwiatów, i wkrótce ponad ogniem, na rożnie, ukazała się obdarta ze skóry antylopa.

Magne, pogrążony w głęboką zadumę, myślał o swem śmiałem przedsięwzięciu.

* * *

Puszczo tysiąc wiekowa! bardziej imponująca, bardziej dziewicza, niż odwieczne lasy Amazonki, lub australijskie gęstwiny nieprzebyte, pełne ścian z drzew i roślin, obok pięknych polanek z przepysznemi widokami. Magne tam poszedł, sam, pomimo wielokrotnych przestróg starych mieszkańców wioski; poszedł, pchany żądzą nauki, ciekawością uczonego.

Szedł już od czterech godzin, zdziwiony obecnością dróg i przejść, pośród olbrzymiej roślinności; sądził, że znajdzie nieprzezwyciężone zapory ze strony tych kolosów świata roślinnego, splątanych ze sobą własnemi korzeniami, oraz mnóstwem wijących się roślin; ciężka atmosfera. półcień, potężne, zbyt wybujałe życie naokół — wszystko to przygniatało wyobraźnię, budząc niewytłumaczoną obawę. Od czasu do czasu, jakieś większe zwierzę uciekało spłoszone, mniejsze siedziały nieruchome, jakby obawiając się mącić majestatycznej ciszy lasu, tego spokoju olbrzymów.

Nigdzie jednak nie spotykał tego, czego szukał: wielkiego czwororęka, mieszkańca i pana tego niemego królestwa.

Od czasu do czasu, zdawało mu się, że zobaczył jakiś ślad, usłyszał jakiś krzyk i serce mocniej bić zaczynało, ręka chwytała za rewolwer ukryty w kieszeni.

Wzrokiem niespokojnym i badawczym przeszukiwał cienie gęstwin, parę razy, podrażnione zmysły ukazywały szeroką, czarną postać, z czaszką rzadkim włosem porosłą, z długiemi rękami: było to tylko złudzenie — rozwiewało się po upływie chwil kilku.

Zmęczony, siadł wreszcie na sterczącym korzeniu i rozmyślał. Pomimo rozdrażnienia nerwowego, wywołanego przez las, świadomości swej samotności i oddalenia od ludzi, postanowienie iść dalej trwało w pełnej sile. Przeciwnie, chęć rozstrzygnięcia zagadki, spotęgowała się nawet.

Czuł niezwyciężoną chęć, niezaspokojoną ciekawość poznania dziwnie pociągających tajemnic Kyamo'a. Był z tych ludzi, których zapał wzrasta w miarę mnożenia się trudności, których wola potężnieje pod wpływem obawy. I w miejsce myśli pierwotnej: pójść i popatrzyć na kilku gorylów, w głowie jego dojrzewał plan inny: żyć między niemi, spędzić wśród nich czas pewien, być przyjętym jako jeden z członków ich społeczeństwa!

Jak się do nich dostać, jak przezwyciężyć ich bojaźń lub niedowierzanie, jak opierać się ich dzikości? Nie wiedział na razie; myślał o tem, siedząc ze zwieszoną głową, z czołem zmarszczonem. W końcu, jak wszyscy ci, którzy dużo podróżowali, którzy często bywali w różnych opałach, zdał się na przypadek, na traf szczęśliwy, a nieobliczony.

Gdy tak rozmyśla, jakiś krzyk oddalony wstrząsa mu nerwy. Zrywa się tedy i patrzy.

Ale zielonawa, ruchliwa, splątana gęstwina, nie pozwala mu widzieć dalej, niż na sto kroków. Ten krótki, zacieśniony widnokrąg, podwyższał jeszcze bardziej odurzające wrażenie potężnej żywotności tych mas drzewnych, które stawały się jakąś ciemną, tajemniczą potęgą, widoczną w ziemi i w powietrzu, a którą się czuło przedewszystkiem w sobie.

Machinalnie szedł dalej, przyciszonym krokiem. W miarę jak się zbliżał, krzyk stawał się głośniejszym, coraz mniej podobnym do ludzkiego. Przypominał raczej głuchy ryk byków, lub warczenie wielkiego doga. Chwilami cichł, aby następnie z nową wybuchnąć siłą.

Magne zawahał się. Jak odgadnąć wielkość niebezpieczeństwa, ku któremu się zbliża, jak go uniknąć, jeżeli jest zbyt blisko? Próżno myśl wytężał! Zresztą, ciekawość rosła, przybierając znamiona jakiegoś chorobliwego popędu. Był pewnym, że znajduje się w bliskości tajemnicy, tuż obok sceny, nieznanej nikomu ze świata naukowego, w której na pewno grał rolę wielki goryl...

Szedł naprzód, wbrew własnej woli, wbrew rozumowaniom, pomijając wszelkie środki ostrożności. A oto, co się ukazało oczom jego:

Pod sklepieniem potężnych konarów olbrzymiego boababu, zobaczył grupę istot czarnych, wzrostu olbrzymiego, których kształtów, z powodu odległości, rozróżnić jeszcze nie był w stanie. Trzeba się zbliżyć, trzeba zobaczyć! — pomyślał. Rozsądek go opuścił; ciekawość zamieniła się w newrozę, w jakąś autosuggestję: nic go już nie wstrzyma. Stanął na chwilę, aby się rozpatrzyć w miejscowości. Tuż przed nim sterczał olbrzymi pień, stary, spróchniały, pełen dziur i szczelin — jego wzrok, jako botanika mówił mu, że i z przeciwnej strony muszą być także dziury, którędy wygodnie obserwować można, co się na zewnątrz dzieje.

Ale jak zrobić, aby podejść do niego niedostrzeżonym? Czy węch goryla nie odkryje mu obecności człowieka, jeżeli go ucho i wzrok zawiodą?

Miał nadzieję. Sądził, że silny odór zwierzęcy, który od zebranych małp się unosił, przytłumi słaby zapach ludzkiej skóry, stłumiony ubraniem.

Nie namyślając się tedy dłużej, puścił się na odważne przedsięwzięcie. Pełzając, chowając się za pnie, czepiając się gałęzi, powoli zbliżał się do pnia spróchniałego. Połowa drogi już była zrobioną. Serce zaczynało mu bić gwałtownie. Nagle wśród małp zrobiło się zupełnie cicho. Czarne głowy, błyszczące oczy, zwróciły się w jego stronę. Zatrzymał dech w piersi: „jestem zdradzony, odkryto mię“ pomyślał.

Przytulony do ziemi, oczekiwał, zdecydowany na wszystko. Zresztą widział to, co chciał; gwarliwe zgromadzenie, zebrane pod drzewem: były to straszne goryle góry Kyamo.

Cisza trwała dwie minuty, poczem odezwał się jeden głos, następnie zagadało całe zgromadzenie. Uradowany Magne poznał, że go nie dostrzeżono: »zbyt czują się panami tego lasu, aby tak łatwo przypuścić mogły, że im grozi jakieś niebezpieczeństwo; tyle wieków panowania, jaka to musi być pewność bezpieczeństwa!“

Leżąc prawie bez ruchu, podziwiał je. Były to muskularne, potężne kolosy. Niektóre osobniki zdawały się mieć wagę trzy razy większą od ciężaru ciała ludzkiego, pomimo to, że wzrost nie dochodził wysokości człowieka średniej miary Nogi miały krótkie, za to pierś szeroką, głęboką. herkulesową. Potężne ramiona mogły zdusić lwa, powalić na ziemię nosorożca.

Obserwując, pełzał dalej, wymijając pnie, prześlizgując się między korzeniami — wreszcie dotarł do pnia spróchniałego. Przewidywania jego sprawdziły się: po drugiej stronie znajdowały się szczeliny, pozwalające dokładnie widzieć wszystko, co robiły goryle. Wsunął się w dziuplę, wyszukał sobie wygodny kącik i zaczął przypatrywać się szczególnej scenie, którą później nazwał: »Wielką naradą leśnych ludzi«.

* * *

W istocie widowisko było bardzo oryginalne. Przed oczami miał polankę przeszło tysiąc metrów powierzchni, porosłą trawą i kępkami roślin jednorocznych, okrytych kwieciem; ponad nią olbrzymie konary drzew otaczających, tworzyły rodzaj sklepienia, łagodząc silne promieniowanie słońca. Słowem, był to rodzaj hali przyrodzonej, doskonale zastosowanej do zgromadzeń tego rodzaju.

Tam właśnie zebrały się olbrzymie małpy, w liczbie około czterech setek — wszystko osobniki starsze, dojrzałe. W gromadzeniu się i pozach widać było pewien porządek. Od czasu do czasu to jeden, to znowu drugi goryl wykony-

wał wolne, miarowe ruchy, które reszta zgromadzenia z zajęciem śledziła. Ruchom tym towarzyszyły krzyki, jedne łagodniejsze wyraźnie oznaczały zgodę, drugie ostre zaprzeczenie, odmowę lub naganę. Przeglądając oblicza zebranych, ich zmiany, widząc ciągłe powtarzanie się pewnych ruchów, Magne nie wątpił, że ma przed sobą jakieś wielkie rozprawy, jakieś naradzanie się tych szczególnych zwierząt. Bezwątpienia, twarze tych małp przypominały raczej psa, niż człowieka — olbrzymie szczęki z wielkiemi kłami, czoło małe, w tył cofnięte — mimo to, całość zgromadzenia nosiła na sobie wyraźną cechę wyższej inteligencyi. Przypominały mu się zebrania niektórych szczepów afrykańskich, których twarze nie wiele więcej się różniły od poprawnych rysów Europejczyka...

O czem one rozmawiały? Czy groziło jakie niebezpieczeństwo, które trzeba było zbiorowemi siłami odeprzeć — czy obmyślano plan wyprawy, czy zamyślano jakąś wspólną robotę? Na pytania te Magne nie znajdywał odpowiedzi. W każdym razie rzecz, o której tak gorliwie rozprawiano, musiała być wielkiej wagi. To pewne, że wszyscy uczestnicy na jedno się zgadzali, mianowicie na kierunek: oczy i ręce rozprawiających często zwracały się w jedną stronę, mianowicie na południe

»Może ztamtąd nieprzyjaciel zagraża, może spotkały tam jakieś niezwykłe zjawisko?...«

Czegoby nie dał za to, aby się dowiedzieć! Magne przekonał się wkrótce, że nie ma pod tym względem żadnej nadziei: byłoby potrzeba długiego czasu, aby się nauczyć języka, którym przemawia człowiek leśny. Czy to był język w właściwem tego słowa znaczeniu? — Nie! Jako przyrodnik, a więc przyzwyczajony do bystrego dostrzegania, odkrywał w ruchach pewną stałość, określoność, pewne powtarzające się kombinacje ruchów palców i ramion; wszystko to było bardzo proste, względnie do złożonych znaków głuchoniemych, ale zato o wiele wyżej stało od wszystkich sposobów porozumiewania się, jakich używają inne niższe ssaki.

Ach! tak, bardzo byłoby ciekawem wiedzieć, o czem one mówią. Ile ciekawych danych zyskałaby tym sposobem nauka o początku i rozwoju języka, jak ważną i zajmującą kartkę możnaby dodać do wspaniałej księgi czarów przeddziejowych, wypisanej na pokładach w głębi ziemi!

»Pójdę do nich, postanowił Magne... Wyrzeknę się mej godności człowieka... stanę się ich najniższym sługą, niewolnikiem... ich rzeczą!.,.«

Było to łatwem do pomyślenia. Ale jak myśl taką przeprowadzić w rzeczywistości? Pokazać się im, dać się wziąć w niewolę? Jak z nim postąpią? A czy nie rozszarpią go na miejscu, za karę, że ośmielił się zjawić w chwili narady? Albo może nie zabiją go, a tylko wypędzą z lasu?

D. c. n.

Z ruchu literackiego.

Nasz patrjotyzm. — Podstawy programu współczesnej polityki narodowej. — Warszawa 1893. — Czcionkami drukarni Janiszewskiego i Quitta w Berlinie.

Nader pocieszającem zjawiskiem są w ostatnich latach, zwłaszcza od stuletniej rocznicy Konstytucji 3-go Maja, coraz żywsze i wyraźniejsze objawy patrjotycznego ducha w Kongresówce, a osobliwie w sercu polskiego narodu: w ciemiężonej lecz niezwalczonej Warszawie. Przez jakiś czas można się było obawiać, że pewien odłam energiczniejszej i młodszej części tamtejszego społeczeństwa zupełnie się wyrzeknie patrjotycznego kierunku. Teraz inaczej. Młodzież warszawska wszystkich przekonań, doskonale rozumie, że pierwszym niezbędnym warunkiem wszelkiego rozwoju jest złamanie dławiącej obroży niewoli.

Od lat kilku niedawni przeciwnicy »zacofanego patrjotyzmu« i wielbiciele mglisto-kosmopolitycznych ideałów, zrozumieli, że do niczego bez samoistności nie dojdziemy.

Broszura, której tytuł wyżej przytoczyliśmy jestto właściwie jeden okrzyk zgrozy: »A długoż bracia, mamy cierpieć?!« Autor dochodzi do przekonania, że wytrzymać nie podobna, że trzeba oporu, czynu, piętnuje jak się należy owych warszawskich i petersburskich stańczyków, którzy oczekują ciągle jakichś »łask carskich«, a tymczasem obrabiają jak się należy swoje interesa i interesiki, zbierając okruchy miljonów, wydartych przez cara u całego narodu.

Własnem doświadczeniem pomimo ucisku i spaczonego wychowania, młodzież dochodzi do prawd, w które wierzyli lepsi działacze uprzednich pokoleń i tem samem stwierdza ich żywotność. »Polityka nasza — woła autor — musi być rewolucyjną, bo organiczną być nie może. bo nie ma żadnego gruntu legalnego, na którymby się mogła oprzeć!« My dodamy, że lepiej odrzucić ową oklepaną rewolucyjność i powiedzieć, że żadnego gruntu legalnego pod nielegalnem panowaniem być nie może. Legalnem jest tylko to, co legalny właściciel, naród polski, uchwali i zdziała. My nie burzymy, ale odbudowujemy, właściwie chcemy tylko oczyścić pola swoje »od tych chwastów, co nam zboża głuszą«. Wytknięty przez autora program jest trochę niejasny, trochę ogólnikowy, ale uczciwy i serdeczny. Życząc mu wszelkiego powodzenia, życzymy jeszcze bardziej tym polskim krainom, które trochę wolniej dyszą, ażeby wszelkiemi siłami, pomagały naszym braciom zakordonowym, nawet, podług znanego stańczykowskiego wyrażenia, narażając ich na zemstę potężnego wroga, bo i bez naszej pomocy narażać się będą — i powinni.